

Nie wierzyć to straszna rzecz

AUTOR: JAROSŁAW ZALESIŃSKI

Nad Wisłą Hemara zapamiętano jako człowieka estrady, a nie teatru. Ze szkodą dla Hemara, ale też – jak pokazała październikowa premiera *Cudu biednych ludzi* w Teatrze Telewizji – ze stratą dla teatru.

■ Pomysł, by sięgnąć po sztukę Mariana Hemara, nigdy przez żaden teatr w Polsce nie zagraną, wygląda raczej na poszukiwania z kręgu archeologii teatralnej, niż na wybór atrakcyjnego repertuaru. Do 1989 roku cała twórczość literacka udzielającego się regularnie na antenie Radia Wolna Europa Hemara była objęta cenzorskim zapisem, ale i za demokracji nikt jakoś w Polsce po *Cud biednych ludzi* nie sięgnął. Sztukę wystawiło jedynie kilka teatrów na Zachodzie. A szkoda.

Tytułowy cud wydarza się w tym dramacie tak, jak to cudom przynależy, czyli niejasno, niejednoznacznie. Hemar tę niejednoznaczność jeszcze zwielokrotnia, bo w *Cudzie biednych ludzi* to samo zdarzenie, zależnie od tego, czy uznamy je za coś nadprzyrodzonego, czy też nie, okaże się albo moralne, albo niemoralne. Na spór wiary i niewiary nakłada się problem ostateczności albo nieostateczności naszych etycznych sądów. Tak oto powstaje w tej precyzyjnie skonstruowanej sztuce coś w rodzaju układu współrzędnych: oś wiary i niewiary krzyżuje się z osią dobra i zła. Bohaterowie, spotykający się i dialogujący w kolejnych scenach, różnie się w stosunku do tych osi sytuują.

Punkt wyjścia znajduje się poza przedstawionymi wydarzeniami, dowiadujemy się o nim z dialogów. Na żonę Józefa Bylejaka (Rafał Fudalej) spadło doświadczenie nagłej i niewytłumaczalnej choroby – paraliżu, który przykuł ją do łóżka. Józef, co już wydaje się pierwszym punktem w sporze wiary i rozumu, zaniedbuje praktyczne życie, by tym gorliwiej modlić się przed wizerunkiem Świętej Teresy w parafial-

nym kościele o uzdrowienie ukochanej żony. Tam właśnie wydarza się pewnego dnia cud: święta, uproszona codziennymi modłami, rozjaśniła się jakąś niematerialną światłością, zdjęła z siebie cenne wotum, sznur pereł, i podała je Józefowi, prosząc, by perły te spieniężył i tak zdobył środki na leczenie żony. Cud! Gdy Jakub wpadł do biednej izby, którą zajmował z żoną kątem u matki, ze sznurem drogocennych pereł w ręce, z żarem opowiadając o dialogu ze świętą, dali mu wiarę wszyscy, nawet szwagier pijus (Mariusz Kilian), upadając na kolana. Co tam szwagier, ukląkł też opiekujący się chorą lekarz (Michał Lesień), gdy Teresa, poruszona opowieścią Jakuba, o własnych siłach cudownie wstała z łóżka.

Na cud w parafialnym kościele da się też jednak patrzeć trzeźwo: mógł przecież zdesperowany Józef po prostu ukraść cenne wotum, dorabiając do tego historyjkę o cudownej darowiznie. W porządku prawa Jakub jest zwykłym złodziejaszkiem, którego trzeba postawić przed sądem i posłać za kratki. Według tej logiki, przewodu sądowego, Hemar konstruuje kolejne sceny sztuki. W jednej z nich zderza ze sobą wiarę prostej kobiety (Elżbieta Majewska – Grzegorzowa Małgorzaty Roźniatowskiej) i sceptycyzm młodzieniaszka racjonalisty, sądowego aplikanta (Andrzej Ogłóza), drwiąco krzywiącego się na naiwne zabobony. Pomiędzy nimi umieszcza starego sędziego (Zdzisław Wardejn), którego lata sądowej praktyki nauczyły ostrożności w formułowaniu jakichkolwiek kategoriycznych sądów. W innej scenie Hemar spotyka ze sobą księżowską wiarę

proboszcza (Zbigniew Waleryś), skłonnego szukać dla swej wiary racjonalnego oparcia, oraz wolną od zbędnych dociekań (bo i po co, skoro to oczywiste) wiarę Józefa. W jeszcze innej – Hemar zderza proboszczowską wiarę w Boże miłosierdzie oraz pragmatyzm ministra (Jerzy Zelnik), który – nie bez poważnych racji przecież – dowodzi, że nie można relatywizować stanowionego prawa w imię nieweryfikowalnych wierzeń. Co ciekawe, Hemar, który zmienił wiarę, przyjmując w 1935 roku chrzest w Kościele katolickim, rys pewnej dogmatyczności przypisuje w tych scenach raczej sceptykom i racjonalistom niż ludziom wiary. To ci pierwsi wiedzą wszystko z góry, ci drudzy raczej szukają odpowiedzi, wątpią, pytają. Ale i ten podział nie jest jednoznaczny, bo na przykład sędzia śledczy niczego nie chce przesądzać, a wśród wierzących znajdują się tacy, co to wiedzą wszystko, nawet z naddatkiem, jak Grzegorzowa, która opowiadając przed sędzią o cudzie w kościele, dośpiewała do historii Józefa jakoweś organowe grania i inne bajkowe historie, jakby żywcem wzięte z ludowej religijności. Są tu też tacy jak ów lekarz, przechylający się z jednej strony na drugą, ulegający pierwszemu wrażeniu, a potem trzeźwiejący i wracający do racjonalnych pojęć.

Logika przewodu sądowego w kulminacyjnej finałowej scenie prowadzi bohaterów do sali sądowej, ale równie dramatyczna kulminacja rozgrywa się już wcześniej, gdy Hemar spotyka ze sobą Józefa i proboszcza, czyli wiarę prostą, ufną, uznającą cud za oczywistość, oraz wiarę, która jednak chce wiedzieć, która szuka

TEATR TELEWIZJI /
VOD.TVP.PL

Cud biednych ludzi
Mariana Hemara

scenariusz, reżyseria
Zbigniew Lesień
scenografia
Tomasz Bartczak
kostiumy
Teresa Piwońska
zdjęcia
Piotr Śliskowski
muzyka
Michał Lorenc

premiera
19 października 2020

Od lewej:
Rafał Fudalej
[Józef Bylejak],
Zbigniew Waleryś
[Ksiądz]

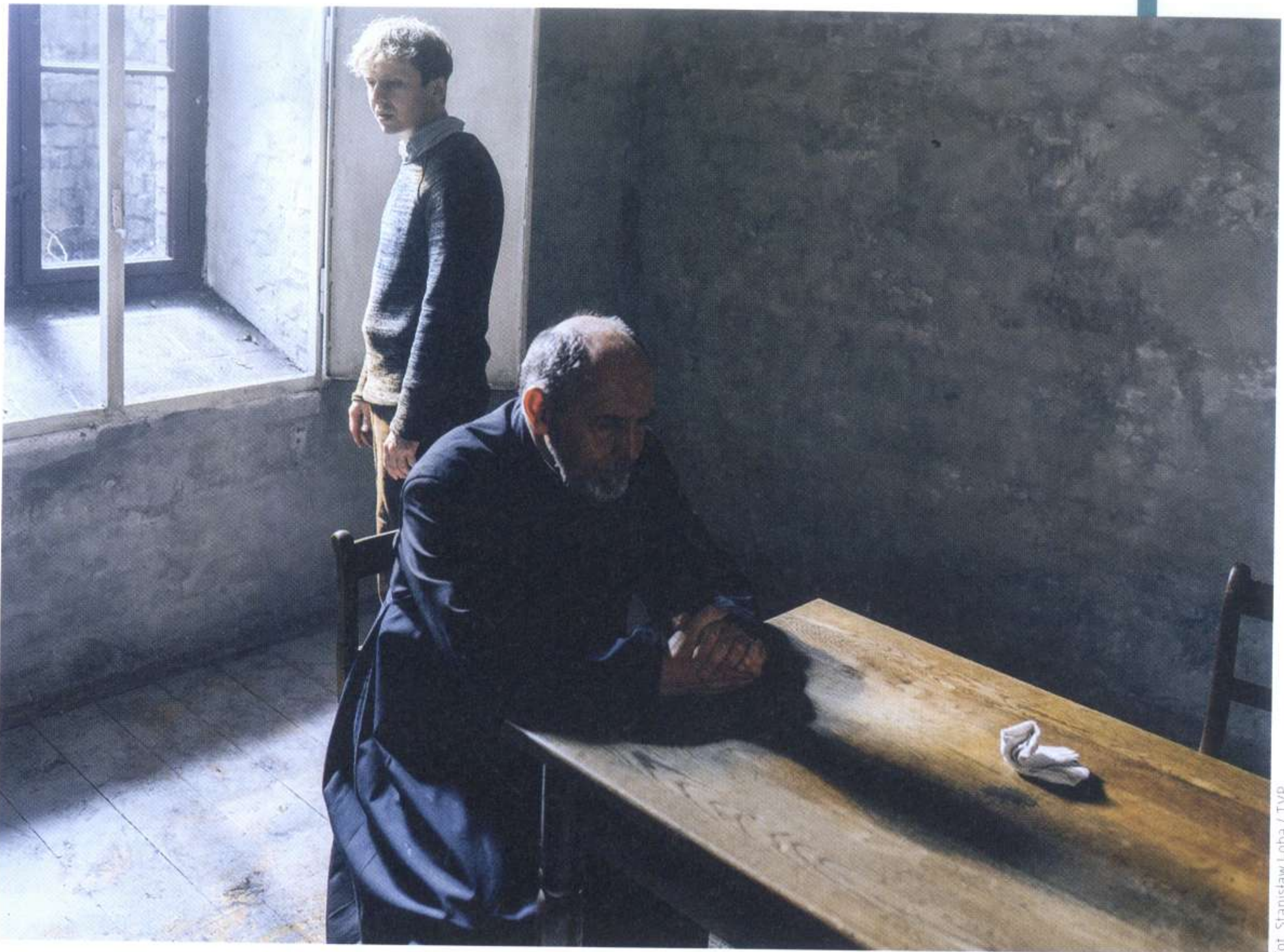


foto: Stanisław Loba / TVP

odpowiedzi na pytanie: „Jak to jest możliwe?”. Proboszcz tym ważniejsze ma powody dla swoich dociekań, że wie coś, czego Jakub wiedzieć nie może: podarowane (albo skradzione) perły nie miały żadnej wartości, proboszcz już dawno podmienił je na imitację, oryginalne perły sprzedał, by móc wspierać biednych parafian. Józef tego nie wiedział, ale Święta Teresa wiedzieć przecież musiała... Czy zatem oszukała naiwnego człowieka, podarowując mu nic niewarte wotum na pomoc dla jego chorej żony? Dla Józefa to prawdziwa próba wiary, której sprostał, paradoksalnie przyznając się w procesie do kłamstwa. Siebie skazał w ten sposób na więzienie, ale ocalił własną wiarę w opiekuńcze sacrum.

Marianowi Hemarowi udało się w *Cudzie biednych ludzi* rzecz trudna: wplótł w sceniczny dramat pewien wywód teologiczny, który dotyka samego sedna wiary, religijnej pewności istnienia wyższego świata, pewności niewątpliwej, ale całkiem innej niż ta, jaką dają rozumowe prawdy. To wywód daleki przy tym od kategoryczności i od etykietowania, tak częstych dzisiaj w podobnych sporach. Nic tu nie jest do końca jasne, niczego nie rozstrzyga się bezapelacyjnie. Kto nie wierzy, po obejrzeniu spektaklu może zbyć wzruszeniem ramion naiwność religiantów. Kto wierzy, poczuje się ugruntowany. Każdy pozostanie przy swoich racjach.

Przemysłanej konstrukcji dramatu Zbigniew Lesień, autor scenariusza i reżyser, szczęśliwie

nie popsuł, a nawet dobrze wykorzystał wynikające z filmowego montażu możliwości wprowadzenia retrospekcji. Spektakl zagrany jest rzetelnie, choć tylko sędzia Zdzisława Wardejna, typ zdystansowanego mędrca, jest postacią narysowaną licznymi i subtelnymi kreskami. Ale cóż, Hemar nie psychologizuje przecież, przedstawia raczej upostaciowane idee niż osoby. Nie dotyczy to jednak Józefa Bylejaka, bo to jego przeżycia, jego emocje czynią ten dramat wiarogodnym bądź nie. Reżyser i aktor, tworząc postać człowieka gorliwie wierzącego, przypisali mu pewien emocjonalny naddatek czy pewne rozegzaltowanie, które oczywiście osobom religijnym się przytrafia, ale mnie jakoś nie przekonało. Sztuce z daleka i wysoka patronuje Święta Teresa z Ávili, mistyczka trzeźwa i pragmatyczna, przeplatająca w *Księdze życia* najbardziej olśniewające duchowe poznania z wywodami, że boli ją głowa... Gdyby Józef Bylejak był kimś zwyczajnym, kimś jak każdy z nas, a nie osobnikiem nienaturalnie egzaltowanym, bardziej by chyba do siebie przekonywał.

Osobliwe nazwisko, jakie mu nadał Hemar, miało nam powiedzieć, że główny bohater jest kimś w rodzaju everymana, jest każdym, jest ludzką naturą. A właściwością tej natury jest to, iż jest „biedna”, ograniczona w swoich pojęciach, zdolności rozumienia świata, przeniknięcia jego praw. Człowiek jest tak „bylejaki”, że dopiero dopełniony przez

coś większego od niego staje się w pełni sobą. Zobaczyć można to jednak tylko okiem wiary. Ba, tylko jak to unaocznic w teatrze? W Teatrze Telewizji można to zasugerować kadrami. Zdjęcia są tu jakby nie dość ostre, nieco przydymione, wypełnione światłocieniem (nie zawsze, bo kręcone w dużym zbliżeniu ludzkie twarze są tak wyraźne, że dałoby się policzyć wszystkie zmarszczki na twarzy Grzegorzowej). Świat, w jakim umieszczeni są bohaterowie, zatopiony jest w pewnej aurze. Podkreśla to też muzyka Michała Lorenca, dyskretna, utajona, pojawiająca się na zasadzie nie muzycznego komentarza do scen, tylko autonomicznej sfery, która ujawnia się i ukrywa według własnych zasad. Ów światłocień w kilku kluczowych momentach intensywniej, zmienia się w niematerialne światło, snop padający nie wiadomo skąd, pewnie tak, jak to zobaczył Józef Bylejak, gdy figura Świętej Teresy wyciągnęła do niego rękę z cennymi/bezwartościowymi perłami... Ale być może było to po prostu światło latarki, którą Bylejak miał wtedy przy sobie w kościele – co udowodnił mu prokurator w sali sądowej. Kto to wie...

Czesław Miłosz dziwił się niegdyś, że kultura kraju tak ponoć powszechnie katolickiego nie zaowocowała współcześnie ciekawymi powieściami religijnymi. Dramatu ta opinia też zapewne dotyczy. *Cud biednych ludzi* Mariana Hemara jest od tej reguły szczęśliwym wyjątkiem. Ciepły rosół, jeszcze paruje. ■